PRZYIACIEL DZIECI



Nr. 7. Cieszcie się lubym wiekiem, bo prędko uleci, Wesoło lecz na dobre użyjcie go, dzieci. **1. Kwietnia.**

Jest różnica.

— Ale ciociu kochana, przecież jest różnica pochodzenia, wymówiła piętnasto-letnia Emma, spoglądając od dywanika który haftowała, ku siedzącej opodal pani Dalewskiej — którą widzimy we wszystkiem: w zwierzętach rasy szlachetniejszej i podlejszej, w drzewach, w kwiatach, w owocach, jarzynach, w kamieniach i ziarnkach zboża — we wszystkiem zgoła, we wszystkiem.

Pani Dalewska uśmiechnęła się dziwnie, i odkładając haft swój, powstała:

— J e s t r ó ż n i c a, moje dziecko, i to w i e l k a r ó ż n i c a! wymówiła z przyciskiem na ostatnich wyrazach, przystąpiła do

sekretarki, wyjęła zeszyt ręką własną zapisany, znowu usiadła, przerzuciła kilka kartek i podała go Emmie:

— Przeczytaj to głośno, moja dzieweczko — wymówiła — przepolszczyłam tę powiastkę z autora duńskiego, Andersena; traktuje właśnie o tymże przedmiocie.

Emma przeczytała: „Jest różnica."

— Otoż widzi ciocia! zawołała ożywiona nagle.

— Czytaj tylko, czytaj!

I Emma przeczytała co następuje:

Jest różnica.

Było to w maju — wiatr zimny zawiewał, lecz wszędzie uśmiechała się wiosna, jak o tem świadczyły drzewa, pola i łąki. Kwiatki w zimnym podmuchu pochyliły się smutno — ale w sadzie zielonym młoda jabłoń zwieńczyła się cudnie różowemi pączkami.

Drzewina wiedziała o tem że jest piękną — bo świadomość tego jest w listku jako i we krwi, i dlatego ją też nie dziwiło bynajmniej gdy po nad drogą błyszczący zatrzymał się powóz, i młoda hrabianka z uniesieniem wychwalała śliczne wieńce jabłonki, mówiąc że to jest wiosna zrzeczywistniona w najwdzięczniejszym objawie. Odłamano jedną z najkwiecistszych gałązek, piękna hrabianka w białą ujęła ją rączkę i zasłaniając troskliwie od wiatru, nieuszkodzoną do zamku przywiozła.

W zamku obszerne komnaty bogatym jaśniały przystrojem. Biało-mgliste firanki powiewały u okien, cudne kwiaty woniały w alabastrowych wazonach, tak bielutkich jak gdyby ze świeżo spadłego śniegu były ulepione. W jednym z nich umieściła młoda dziewica gałązkę jabłoni i dwie młodziutkie łodygi bukowe, że aż miło było popatrzeć.

Gałązka spyszniała — jak gdyby była człowiekiem!

Do komnaty różni wchodzili ludzie, i każdy stosownie do stanowiska jakie zajmował, swoje czynił uwagi. Jedni mówili za wiele, drudzy nic wcale — i gałązka pomyślała sobie:

— Jest różnica pomiędzy ludźmi, jako i pomiędzy roślinami. Jedne służą do ozdoby, drugie do pożywienia, ale są i takie, które

do niczego nie są przydatne. — Że zaś wazon stał blisko okna, gałązka wyjrzeć mogła na ogród i na pola — to też przypatrywała się różnym kwiatom i ziołom, i nad ich użytecznością przemyśliwała. A były pomiędzy niemi liche i nędzne — o! i bardzo nędzne.

— Biedne badylki! westchnęła litośnie — jest różnica, oj, jest! Jakież one są nieszczęśliwe jeżeli tak czuć umieją jak ja i bratnie mi szlachetne kwiaty. Jest różnica i być powinna, bo inaczej wszyscy sobie byliby równi, a tak być nie może.

Gałązka patrzała się ze szczególnem politowaniem na kwitnący opodal mlecz żółty — nazwany czartowskiem naczyniem mlecznem w języku duńskim.

— Biedna wzgardzona roślino! — westchnęła — cożeś zawiniła że jesteś tak spodloną i tak brzydko nazwaną? Ależ z roślinami bywa tak samo jak i z ludźmi — musi być różnica.

— Różnica?! — powtórzył za gałązką złoty promień słoneczny, i musnął pieszczotliwie jej kwiecie różowe — lecz zarazem popieścił także mlecz żółty. A potem i drudzy jego braciszkowie tym samym poszli torem — całowali zarówno i bogate i liche roślinki.

Gałązka dotąd jeszcze nie pomyślała nigdy o nieograniczonej miłości Bożej dla całego stworzenia, ani też że bywa ukryte piękno i ukryte dobro — zupełnie jak to czyni pycha człowiecza.

Promień słoneczny, promień światła lepiej o tem wiedział.

— Niejasno widzisz — ozwał się do gałązki — nad którążto rośliną ubolewasz najwięcej?

— Nad czartowskiem naczyniem mlecznem — odrzekła gałązka — Nigdy żółtego mleczu do wianka nie wezmą, a depcą go nielitośnie. Jest go tak wiele, i gdy dojrzeje zamienia się niby w postrzyżoną wełnę i czepia się sukien ludzkich i wszystkiego. Chwast to podły — ale być inaczej nie może! Wdzięcznam przyrodzie że brzydkim nie jestem mleczem.

Skacząc i nucąc nadbiegła przez pole wesoła gromadka dzieci. Starsze niosły najmłodsze — a gdy je posadziły na trawniku wśród żółtych kwiatów, dziecię zaśmiało się radośnie,

klaskało w dłonie, zrywało mlecze i całowało je z całym urokiem niewinności dziecięcej. Starsze brały łodygi mleczu, robiły z nich pierścienie, spajały takowe w długie łańcuchy i stroiły niemi szyje, ręce i głowy — i wcale ładnie im było. Potem zrywały najstarsze dziewczynki i chłopięta przekwitłe już, puszaste, ostrożnie by tej pajęczej nie strącić korony — i poniosłszy je do ust, starały się jednym podmuchem leciuchne zwiać włókna — miała to być wróżba że kto tego od razu dokona, w tym roku jeszcze nową dostanie sukienkę — bo tak sędziwa pouczała babka. Kwiat wzgardzony był więc i w pewnych razach prorokiem.

— Czy poznajesz teraz piękność żółtego chwastu? zapytał promień słoneczny. Poznajeszże jego przymioty?

— Tak, w obec dzieci! odrzekła pogardliwie gałązka.

Wtem nadeszła stara kobiecina i tępym bez trzonka nożykiem wydobywała z ziemi mleczowe korzonki — chciała sobie z nich napój ugotować, a resztę do apteki na lekarstwo zanieść.

— Piękność wszelako stanowi wyższość! wymówiła gałązka zarozumiale — Wybrani tylko dzierzą królestwo piękna. Jest różnica pomiędzy roślinami, jako i pomiędzy ludźmi.

Promień słoneczny znowu począł mówić o nieskończonej miłości Bożej i dla najlichszego stworzenia — jako też i o jednakim podziale wszechrzeczy w obec czasu i wieczności.

— To tylko twoje jest zdanie — poszepnęła dumnie różowa gałązka.

Znowu weszli ludzie do komnaty, a z nimi i piękna hrabianka. Niosła troskliwie kwiat jakiś, dużemi osłonięty liśćmi, by go powiew wiatru nie uszkodził — a niosła go staranniej jeszcze i pieszczotliwiej jak przed chwilą różową gałązkę. Ostrożnie odłożyła liście — i ukazała się puchowa, pajęczo-lekka, cudna korona okwitłego mleczu.

Młoda dziewica z roskoszą podziwiała teraz nienaruszony wieniec, urocze kształty, przejrzystą czystość — i zadumała się nad jego znikomą pięknością, którą lada podmuch rozwiać potrafi.

— Patrzcie — zawołała — jak dziwnie pięknie Pan Bóg kwiat ten stworzył! Połączę go z gałązką jabłoni i odmaluję. Śliczną jest gałązka różowa, miłą oku, ależ kwiat ten szczególny ma urok i zalety. Różnią się z sobą, lecz oboje są dziećmi w królestwie piękna. Wielkim jest Pan wszechświata, nasz ojciec niebieski!

Promień słoneczny pocałował badyl i pocałował gałązkę jabłoni — której wieniec teraz różowszą jeszcze skrasił się barwą.

* * *

Emma czytać przestała. Milczenie przez chwilę potrwało — a przerwała je pani Dalewska:

— A więc jest różnica — uśmiechnęła się znacząco — jest różnica pomiędzy złem a dobrem, pomiędzy zasługą a zarozumiałością, pomiędzy pracą a lenistwem, pomiędzy pychą a skromnością, pomiędzy cnotą a występkiem. O! wielkie, wielkie, przewielkie zachodzą różnice! Czy teraz Emmo, poznajesz się na tej różnicy?

— Oh! tak — wymówiła dziewczynka, wsparła ręką głowę i podumała.

Emma odtąd już nigdy z podobnem do powyższego nie odzywała się zdaniem — uznała że jest różnica.

P. z L. W.

Sierota.

Jakby strudzony długą podróżą
Szedł pomaleńku chłopczyk ubogi,
Aby nie upaść patrzył pod nogi,
A dźwigał w ręku doniczkę z różą.

Wtem nadbiegł panicz, i całą siłą
Wytrąca różę z ręki chłopczyka;
A dziecię lica łzami zrosiło,
Po stracie kwiatka żal je przenika.

I rzekło z płaczem: — Ach! cóż ja tobie
Mateńko moja złożę na grobie?...
Panicz ze wstydem spojrzał na dziecię,
I w nim się serce ozwało przecie.

Więc wziął za rączkę biedną dziecinę,
Przywiódł do matki, wyznał swą winę,
Róż dwie doniczki wyprosił sobie,
I wraz z sierotką złożył na grobie.

KONFEDERAT BARSKI.

Wiecie wy też co to była Konfederacja Barska i co to Konfederat Barski?

Aby wam dać niejakie wyobrażenie o tej epoce, w której Polacy z niesłychanem męstwem i poświęceniem walczyli w obronie chylącej się do upadku ojczyzny, opowiem wam jedno zdarzenie z owych czasów.

Było to w Marcu w r. 1768. Na pochyłości wzgórza, nieco opodal od wioski, stał niewielki dworek szlachecki — dworek drewniany, o słomianej strzesze, z ganeczkiem o dwóch słupach. Przed domem rozciągał się niewielki dziedziniec, otoczony zabudowaniami gospodarskiemi. Po prawej stronie stajnia, obora na bydło, po lewej lamus. Dziedziniec otoczony był płotem z chrustu plecionym — a do wjazdu brama wysoka, z daszkiem słomianym. Bliżej dworku przy jednej stronie dziedzińca ogromna stała lipa. Rozłożyste jej konary okrywały się latem bujnem liściem, w których cieniu miło było spocząć po dziennym skwarze. Ale obecnie szerokie jej gałęzie ogołocone były z liścia, i oczekiwały przyjścia wiosny. Za domkiem rozciągał się ogródek sadzony w szpalery agrestowe i porzeczkowe — pomiędzy temi czworobokami były grządki warzywne, obecnie jeszcze pokryte gdzie niegdzie zamrozią i szmatami topniejącego śniegu. Krańcem ogródka

ciągnęła się długa ulica lipowa, a cały ogród otoczony był wysokim płotem, nieprzepuszczającym widoku ani na pola pobliskie i ciągnący się za niemi lasek, ani na rozłożoną u stóp pagórka wioskę.

Dzień miał się ku wieczorowi. A był to pierwszy dzień cieplejszy, w którym już znać było świeży powiew zbliżającej się wiosny — Na ganku siedział, wieczorne z cicha odmawiając pacierze, gospodarz tego dworku, któryśmy oglądnęli. Mężczyzna w samej sile wieku, bo sądząc z oblicza nie przeszedł jeszcze lat czterdziestu. Miał na sobie żupan gruby codzienny, z wierzchu bekieszkę z grubego sukna, podpasaną szerokim pasem, buty juchtowe, widać że dopiero co wrócił od gospodarstwa, bo p. Stanisław wierny zasadzie że p a ń s k i e o k o k o n i a t u c z y, nie spuszczał się w niczem na samą czeladź, a wzwyczajony od młodu do porządku i pracowitości, sam pilnie doglądał swej gospodarki. Czynił ile mógł — a resztę poruczał łasce Bożej, w przekonaniu że wypełnił to wszystko, co do niego należało. To też i ludzie kochali go i szanowali, i Bóg mu szczęścił — Wiódł mu się dobytek, szczęściło w gospodarce. Bóg dał wybrać sobie żonę, której chociaż zwyczajem ówczesnym, nie znał prawie przed ślubem, bo po drugiem czy trzeciem widzeniu się oświadczył jej swój afekt, a we dwa tygodnie było już po zaręczynach i po ślubie, pokochał jednak szczerze, bo była dobrą, bogobojną i gospodarną. Bóg dał im troje dziatek — dwóch synków i jedną córkę. Przypatrzcie się — oto bawią się właśnie używając pierwszego dnia wiosny. Na podwórku sucho, bo tu dawniej już śnieg stopniał i wody ściekły. Dziatki chcą ustawić pod lipą ławeczkę, na której w lecie będzie wieczorem siadał na odpoczynek ich Tata i rozpowiadał im dzieje ojczyste, lub odmawiał codzienne swoje pacierze. Dzieci umiotły czyściutko miejsce pod lipą — chłopczyki wbijają w ziemię koły, na których będzie osadzona ławeczka — młodsza od nich siostrzyczka pomaga jak może braciszkom. Śliczne to dziatki! Starszy chłopczyk ubrany w habicik karmelitański i podpasany zakonnym sznurem z ogórkami — główkę ma nisko ostrzyżoną i wsunął na nią kapturek od habitu, a pracuje gorliwie nie oglądając się

bynajmniej. Pani Stanisławowa chcąc uprosić u Boga aby jej się zdrowo dzieci chowały, uczyniła ślub żeby jej synek najstarszy aż do ukończenia ośmiu lat chodził po zakonnemu. I właśnie w tym roku skończy Władyś rok ósmy, i złoży zakonny ubior a przywdzieje tak jak młodszy jego braciszek Kazio, żupanik i kontusik na wyloty. Zuch bo to wielki ten mały Kazio! Łebek ma podgolony ówczesnym zwyczajem, jasne włoski na czole równo ucięte do garnka, na prawe uszko z fantazją wsunął czworograniastą czapeczkę z piórkiem, a w pracy nie da się uprzedzić poważniejszemu, starszemu swemu bratu, ni siostrze. Często tylko pogląda ku gankowi, aby się przekonać czyli Tatko uważa jak oni dla niego gorliwie i chętnie pracują, zadając sobie w myśli pytanie czy też dobrze mu będzie spoczywać po całodziennych trudach na tej ławeczce, którą dla niego ustawiają?

Ale ojcu ich nie w myśli było w tej chwili uważać na pracę i wesołe krzątanie się dziatek. Umysł jego ciężkie obsiadły troski. Skończywszy pacierz wieczorny, pochylił głowę zadumał się głęboko.

Wtem wyszła z głębi domu kobieta młoda, przystojna, ubrana w obcisłą jupkę podbitą barankami, w czepcu, w bucikach z wysokiemi korkami, z pękiem kluczów wiszących u pasa. Była to żona p. Stanisława a matka owych trojga żwawych i ślicznych dziateczek. Urządziwszy swe wieczorne gospodarstwo, chciała rozmówić się z mężem względem zatrudnienia na dzień jutrzejszy i wyszła na ganek, ale widząc go tak srodze zasępionego i głęboko w myślach zatopionego, zapytała nieśmiało, coby takiego było, co takiem przejmuje go zamyśleniem?

— Coby było, coby mi było? odrzekł Stanisław, podnosząc oczy w twarz ukochanej swej żony i gładząc ręką duże w dół wiszące wąsy — Oh! źle, źle moja Marychno dzieje się u nas, że aż serce się kraje na widok tego wszystkiego. Asińćka moje serdeńko, nie rozumiesz się na tem, i napróżnoby było rozwodzić się przed tobą o tych sprawach, bo to nie białogłowska rzecz — Ale człek w sobie bolu i języka potłumić

nie może — bo powiadam Aśćce okropnie, okropnie dzieje się w naszej ojczyznie! Ksiądz kwestarz, który tu przejeżdżał wczoraj, kiedyś Aśćka poszła przyrządzić mu polewkę piwną, zamknąwszy się ze mną w alkowie straszne opowiadał mi rzeczy. Senatorów, biskupów porwali z sejmu Moskale i wywieźli! Senatorów wolnego narodu, z pod boku króla — a to gwałt, świętokradztwo, wołające o piorun do Boga! Zgroza pomyśleć



do czego to idzie! Pan stolnik Litewski to malowana lalka na tronie — sługa carycy — Moskal rozgospodarzył się po kraju — i dokazuje co zechce. Zguba, zguba ojczyzny — widoczna — bliska....

I kończąc już sam do siebie te ostatnie słowa w dawne pogrążył się marzenia.

W tej chwili ukazało się z po za lasu na przeciwległem wzgórzu kilkunastu jeźdców, którzy rączym kłusem zbliżali się do bramy dworku. Pierwsza ujrzała ich pani Stanisławowa i zwróciła uwagę męża, a jeżdzcy szybko przebywszy dolinę dzielącą dworek od wioski, wjeżdżali właśnie na podwórze, oświeceni ostatniemi promieniami zachodzącego słońca.

Pan Stanisław poznał między tymi niespodziewanymi gośćmi kilku swoich sąsiadów, a reszta była mu nieznana. Wszyscy byli na dzielnych koniach — w podpiętych żupanach, bekieszkach lub kurtach, przy boku mieli karabele, u każdego było po kilka par pistoletów zawieszonych na taśmach, zatkniętych za pasem lub w olstrach przy siodle — na głowach mieli wysokie czworograniaste czapki, jakie i dziś jeszcze konfederatkami nazywamy. Za nimi pachołki prowadzili kilka luźnych koni; każden z nich był także uzbrojony i nadto obciążony rozmaitym pakunkiem.

Pan Stanisław widząc wjeżdżających gości rozmarszczył czoło, bo gościnność to jak wiecie wrodzona Polakom cnota, a kiedy gość w nikomu nie zamknięte wjeżdżał wrota to ustępowała troska z domu, bo gość w dom, Bóg w dom, mawiali ojcowie nasi. Toż i pan Stanisław postąpił kilka kroków na powitanie nowo przybyłych i rzekł już raźniej:

— Czołem panowie bracia — czołem! Witam serdecznie w małym domku moim — Ale dokądże to tak zbrojno i juczno pan Bóg prowadzi? Ba — widzę i nie z bliska, dodał obracając się do nieznajomych, bo i daleką drogę znać po odzieży i z luzakami jak widzę.

— Każ no tam Waszmość jaką taką sporządzić dla nas wieczerzę, bośmy tu na nocleg do Waszmości zdążyli, a mamy jeszcze tęgi kawał drogi przed sobą — a jutro da Bóg doczekać skoro świt ruszymy dalej i waści pana brata kuligiem zabierzemy z sobą, a tymczasem każ tam ustawić gdzie nasze konie, a my Waszmość bratu opowiemy jak rzeczy stoją.

I to mówiąc, oddawszy konie pachołkom, gwarno i zbrojno weszli do izby.

— A cóż to czy Waszmość nie wiesz co to się święci w ojczyznie? Koniec przyszedł wrogom naszym. Przebrała się

miara ich sprawek. Pan starosta Warecki zawiązał konfederację w Barze i poprzysiągł wypędzić precz Moskali. Rozesłał uniwersały po całym kraju, do wszystkich ziem i powiatów. Zewsząd kto żyje garnie się do konfederacji. Marszałkiem obwołany pan podkomorzy Rożański Krasiński i pan Pułaski, starosta Warecki. Ma on przy sobie swych synów, między którymi pan starosta Zezuliniecki, Kazimierz, młodzieniec tak wielkiego animuszu, że będzie on kiedyś największym z bohaterów naszych, skoro się otworzyło pole po temu. Ksiądz Marek Karmelita, natchniony od Boga, błogosławi w Barze konfederację, rozdaje poświęcone szkaplerze i natchnione cudowne przepowiada rzeczy — Musi powieść się sprawa, kiedy ją z Bogiem i w imie krzyża zaczynamy, a przeciw przeklętej szyzmie i tyranji.

A po tych słowach Stanisław pojął ważność całej sprawy i wiedział już co mu czynić wypada. Całą noc nikt oprócz gości i dzieci nie spał w dworku, bo wszyscy krzątali się czyniąc przygotowania do jego wyjazdu. On sam dawał rozmaite polecenia żonie, wydobywał i czyścił bronie, dawał rozporządzenia czeladzi i dobierał koni w stajni. Pani Stanisławowej choć serce pękało, tłumiła żal swój w cichości i łzy połykając krzątała się aby męża wyprawić jak można było najlepiej opatrzonego w drogę. I oto między innemi przygotowała dlań mały krzyżyk ze słoniowej kości, otrzymany z błogosławieństwem od matki, i ryngraf stalowy na piersi z wizerunkiem cudownej Matki Boskiej Częstochowskiej zgięty przez połowę od kuli szwedzkiej, który jeszcze jej pradziad nosił za Czarnieckiego. Ciemno jeszcze było na dworze, zaledwo szary mrok poranku zaczął się nieco rozwidniać, a już wszyscy goście p. Stanisława wraz z gospodarzem byli na koniach, gotowi do wyjazdu. Rojno i tłumno było w tej chwili przed małym dworkiem — Odjeżdżający uwijali się na koniach i szykowali w drogę. Czeladź dworska wyszła pożegnać z błogosławieństwem odjeżdżającego pana. Stanisław brał z sobą czterech pachołków, wybranych z czeladzi dworskiej, tęgich zuchów, dobrze uzbrojonych i na dziarskich stępakach, najlepszych jakie się znalazły w jego stajni. Dano znak do

odjazdu. Bolesne acz krótkie było pożegnanie. Stanisław nie chcąc budzić dzieci, ucałował je spiące, uściskał żonę, westchnął, wskoczył na konia i ruszył za innymi. W ganku, patrząc nieruchomem za odjeżdżającymi okiem, stała p. Stanisławowa — coraz to więcej oddalał się i głuchł tentent koni; znikli zoczu jezdzcy w mgłe szarzejącej. Ona kilkakroć uczyniła krzyż w powietrzu, posyłając za nimi w dal swe błogosławieństwo, usunęła się na kolana, i modliła się długo, długo, aż pierwsze promienie wschodzącego słońca ukazały się na widnokręgu.

* *
*

Rozpoczęła się tedy rozpaczliwa walka o niepodległość ojczyzny. Po całym kraju gromadziła się szlachta zbrojno i przystępując do konfederacji Barskiej uderzała na Moskwę. Konfederaci źle uzbrojeni, gromadząc się małemi kupkami, walczyli konno. Moskale przeciwnie mieli wojsko dobrze wyćwiczone, dużo piechoty i armat. Przeciągali kraj, niszcząc go i mordując zarówno spokojnych mieszkańców, jak i tych co im opór zbrojny stawili generałowie rosyjscy Kreczetników, Apraxyn, Suwarów, pułkownik Drewicz. Ten ostatni odznaczył się szczególniej srogością. Był on postrachem okolic gdzie się tylko ukazał, i z pojmanymi jeńcami z dzikiem pastwił się barbarzyństwem.

Rok już upłynął od owego dnia, w którym Stanisław łącząc się z konfederatami opuścił dom swój. I odtąd żadnej o nim wieści nie otrzymała żona. Nie wiedziała czyli nie zginął i w które strony popchnął go bieg wojny?.. Czasem przeciągający oddział konfederatów przywiózł jakieś skąpe wiadomości o utarczkach z Moskalami i losach konfederacji, czasem przejeżdżający kwestarz szepnął jej jaką nowinkę, lecz o mężu ani słychu—żadnej wiadomości, żadnej nadziei nawet rychłego powrotu. Pani Stanisławowa przywdziała żałobę i smutek był w całym domu. Dziatki się nie weseliły, myśląc czy Bóg da szczęśliwie wrócić Tatkowi i czy poszczęści sprawie ojczystej, i wraz z matką modliły się codziennie długo i serdecznie, prosząc Boga o powrót Taty i powodzenie dla konfederacji.

Tylko o gwałtach i okropnościach dokonywanych przez Moskali dochodziły ze wszech stron częste i straszne wieści. Tam spalili wieś i zabrali dobytek — tam znowu wymordowali mieszkańców za to że dali przytułek konfederatom. Co nocy prawie widne po krańcach widnokręgu łuny pożarów były oznaką że jakiś moskiewski korpus jest właśnie w pobliżu.

Pani Stanisławowa zwoływała co wieczór po dziennej pracy czeladź dworską na wieczorną modlitwę. Była noc ciemna i burzliwa. W dużej izbie przed obrazem cudownej Matki Boskiej Częstochowskiej, przed którym paliła się nieustannie lampa, klęczała pani Stanisławowa otoczona swemi dziatkami i odmawiała głośno modlitwy, które za nią wszyscy powtarzali. I właśnie ukończyła już była litanję do Opatrzności, i miała zacząć tę wzniosłą powszechnie u nas spiewaną pieśń pobożną: Pod Twoją obronę — gdy na podwórzu dała się słyszeć dzika wrzawa, a ziemia zatrzęsła się i zahuczała od tententu kopyt końskich. Wszyscy strwożeni ciągle nadchodzącemi wieściami o napadach moskiewskich, rzucili się w przerażeniu ku drzwiom, aby obaczyć coby to było takiego? A w tejże chwili uderzył w okna blask pożaru. Płomieniem buchnęły dworskie zabudowania. Kilka wystrzałów dało się słyszeć na dziedzińcu, i przy łunie ogniowej ujrzano tłumy moskiewskiego żołdactwa, uwijające się w około domu i cisnące się do drzwi.

— Kłuj — bij — rozlegały się krzyki moskiewskie. Pohulajmy sobie! To dom Lacha — konfederata — Dom spalić — wszystko zburzyć lub zabrać! Niech się nie buntuje przeciw naszej carycy.

Naprożno było stawić opór — kilku ludzi rzuciło się zatarasować wejście, lecz Moskale nawałem cisnęli się do drzwi. Pani Stanisławowa porwawszy dzieci chciała się ratować małemi drzwiczkami od ogrodu, lecz ugodzona kolbą w głowę, upadła nieżywa pod ciosami. Ten sam los spotkał i dzieci, odłączone w zgiełku od matki i roztratowane końmi. Kazia Moskal przebił pałaszem. Kilku z czeladzi, stawiając opór poległo — innych Moskale powiązali, bijąc i pastwiąc się nad nimi. Pożar opasał strzechę dworku — okropna łuna oświecała

tę scenę mordu i łupieży, a kiedy tłuszcza moskiewska o świcie w dalszą ruszyła drogę, z dworu i zabudowań na około pozostała tylko kupa tlejących gruzów, z pod której przez dni kilka dymiły się jeszcze dogorywające resztki.

* *
*

Przeszło cztery lata trwała wojna konfederacka, bardzo nierównemi prowadzona siłami. Konfederaci dokazywali cudów męstwa. Oddziały ich przenosząc się z miejsca na miejsce trapiły nieustannie Moskali, odnosząc nieraz nad nimi zwycięstwo. Ale coż mogli zdziałać przeciwko napływowi coraz nowych sił nieprzyjacielskich? Rozbici w jednem miejscu gromadzili się w innem. Bili się nad Dniestrem, nad granicą wołoską, w Litwie, nad Wisłą, na pogórzu karpackiem w okolicach Krakowa — słowem wszędzie zjawjały się, wyrastały jakby z pod ziemi hufce konfederatów, walcząc o niepodległość. W tych kilkoletnich zapasach odznaczyli się po bohatersku dowódzcy konfederaccy: Zaremba, Sawa, Morawski i nad wszystkich innych syn wareckiego starosty, sławny Kazimierz Pułaski. Na nic jednak nie przydały się te poświęcenia, odwaga i waleczność, gdy nieprzyjaciel był nierównie przemagający. Konfederaci udawali się o pomoc do dworów ościennych, liczyli na wsparcie to ze strony Turcji, to ze strony Prus i Austrji. Wszystkie te nadzieje zawiodły. Turcja sama zbyt słaba nie była w stanie dopomódz — inne dwory nie chciały. Tylko Francja tem przynajmniej dopomagała że przysyłała zdolnych oficerów, którzy kierowali wojną, zwłaszcza przy obronie miejsc warownych. Wreszcie mocarstwa ościenne postanowiły koniec położyć wojnie. Wojska pruskie i austryjackie weszły w granice Polski. Nastąpił pierwszy rozbiór kraju. Tak skończyła się Konfederacja barska.

Smutny był los konfederatów. Wielu poległo podczas wojny. Wielu pojmali Moskale w niewolę i popędzili na Sybir, na okropne męczarnie. Inni obawiając się podobnego losu, uszli za granicę, pędzić do śmierci życie tułacze. Mało który zdołał powrócić do domu i uchronić się przed zemstą Moskali.

Smutno było w całej Polsce!

Coż stało się ze Stanisławem? Okryty kilku ranami dotąd niezgojonemi, blady i znędzniały, po skończonej wojnie i rozbiciu konfederatów dążył ku swemu domowi. Jechał sam jeden przez dni wiele, aż już nie daleko domu, koń jego wierny, koń co mu w tylu bitwach nieodstępnie służył, wycieńczony trudami i głodem, stracił ostatek siły, zachwiał się i padł.

— Bywaj zdrów biedny mój towarzyszu, rzekł — Tyś mi nieraz życie ocalił. Tyś mi wierny dotrwał do ostatka. Bywaj zdrów!

I zdjął zeń uzdę i siodło, ostatnie pamiątki z tylu bojów i trudów przebytych, zarzucił je na plecy i ruszył dalej pieszo.

Im więcej zbliżał się ku domowi, tem większy ogartywał go smutek i niespokojność — Wreszcie stanął na przeciwległem wzgórzu, spojrzał, i za jednym rzutem oka zrozumiał wszystko. Zachwiał się i stracił przytomność.

Wieśniak przechodzący otrzeźwił go, i opowiedział co się stało.

Więc przywoławszy całą męską siłę, poszedł na miejsce gdzie dawniej stał domek jego, usiadł na resztce pozostałych gruzów — i smutnem, bezwładnem okiem patrzał na wznoszący się w dali na wiejskim smętarzu krzyż drewniany, który na grobie jego żony i dzieci postawili poczciwi jego włościanie.

A w tym okropnym smutku i sieroctwie tę jedną miał pociechę, że święcie wykonał swą powinność, że te wszystkie straty poniósł dla ojczyzny.

Bitwa Racławicka.

Jeżeliście dziatki kochane, nasłuchały się już nieraz ślicznych opowiadań o Kościuszce, to zapewne musiałyście słyszeć i o sławnej bitwie Racławickiej, w której wywalczyli zwycięstwo polscy kmiecie, można powiedzieć po raz pierwszy jako Polacy w sprawie polskiej występujący. Dawniej bowiem do wojny stawała jedynie szlachta. Kościuszko ogłosił że pan każden i szlachcic i chłop są braćmi, i ten dopiero z nich lepszy, kto lepszym Polakiem. Chcąc zaś pokazać iż on sam, choć najwyższy naczelnik, uważa się za równego kmieciom, przebrał się w krakowską sukmanę i w niej chodził.

Stało się to w roku 1794. a więc lat temu sześćdziesiąt ośm. Był naówczas w Polsce ucisk wielki od Moskali, którzy nawet w Warszawie i po całym kraju srodze rządzili i naród

polski ciemiężyli. Nie można było ścierpieć dłużej takiej sromoty, przeco postanowili Polacy wygnać z kraju nieprzyjaciół.

Naczelnikiem obrano zacnego Tadeusza Kościuszkę. Ten przyjechał w marcu do Krakowa, ogłosił że wszyscy Polacy są braćmi i równymi sobie, więc każdy pan i szlachcic równy kmieciom i mieszczanom, bo wszystkich jeden Bóg stworzył a jedna ojczyzna wychowała. Dlatego powinni wszyscy jednakowo bronić ojczyzny, która dla wszystkich jednakową jest matką. To ogłoszenie wywarło pomyślny skutek, i niebawem ujrzał Kościuszko pod swemi sztandarami mnóstwo szlachty a więcej jeszcze dzielnych kmieci polskich, którzy przysięgli do ostatniej kropli krwi bronić ojczyznę.

Ruszył z nimi Kościuszko z Krakowa przeciw Moskalom. Pod wioską Racławice spotkał **4. Kwietnia** kilkakroć liczniejszego nieprzyjaciela, posiadającego prócz wojska także znaczną artylerję, co wiele bardzo w bitwie stanowi. Kościuszko nie miał ani jednej armaty, zaś wojsko jego, złożone po największej części z niećwiczonych chłopków, miało za całą broń kosy i piki, rzadko karabiny i szable. Mimo to rzucili się Krakusy z ogromną odwagą i męstwem na Moskali, i po krótkiej bitwie spędzili ich z pola i pobili najzupełniej. Ośm armat odebrano nieprzyjacielowi, przy czem tak się odszczególnił pewien chłopek z Krakowskiego Bartosz Głowacki, że go Kościuszko przed wojskiem całym serdecznie uściskał. Zmykali Moskale w strachu okrutnym, i długo pamiętali że chłopek polski dzielnie bić umie.

Jak kmiecie pod Racławicami, tak mieszczanie odznaczyli się wkrótce w Warszawie, o czem opowiem wam w następującym numerze.

Przyjaciel dzieci wychodzi dnia 1 i 15 każdego miesiąca. Przedpłata w miejscu wynosi rocznie 4 Złr. 40 cnt. w. a., półrocznie 2 Złr. 20 cnt. w. a Z przesyłką pocztową rocznie 5 Złr. w. a., półrocznie 2 Złr. 50 cnt. w. a. W W. X. Poznańskiem rocznie 3 talary pruskie. Przedpłatę miejscową przyjmuje księgarnia p. Karola Wilda. Przedpłatę pocztową (*także z W. X. Poznańskiego*) należy przysyłać **franco** wprost: *Do redakcji Przyjaciela dzieci, we Lwowie w rynku pod l. 51.*

Redaktorka odpowiedzialna Aniela Zawadzka. Drukiem K. Pillera 1862.